Nr. 14. Kraków, dnia 15 Lipca 1892. Rocznik I.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Szczepańska. L. 5.
Wszelkie przesyłki adresować należy: Jan Englisch, ulica św. Jana, L. 13
Listów niefrankowanych nie przyjmuje się.
Rękopisów nie zwraca się.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

NAPRZÓD

Prenumerata wynosi kwartalnie:
W miejscu 30 ct. Na prowincyi 40 ct. Do Niemiec rocznie mrk. 3. — Do Francyi rocznie fr. 6.
Numer pojedynczy 6 centów.
Listy reklamacyjne nieopieczętowane nie podlegają opłacie pocztowej.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Dwutygodnik polityczny i społeczny. — Organ partyi socyalno-demokratycznej.

L. 13814.

Zatwierdzenie konfiskaty. C. k. Sąd krajowy, jako prasowy w myśl §. 493 pk. orzekł: że zamieszczony w Nr. 13 dwutygodnika »Naprzód« z dnia 1 lipca 1892 na str. 1 artykuł wstępny »Nowa waluta« mieści w całej swej osnowie znamiona zbrodni z §. 65 a. uk. i występku z §. 302 uk., że przeto rozszerzanie dalsze tegoż artykułu zakazanem zostaje, albowiem w tymże artykule pobudza autor do nienawiści i pogardy przeciw całemu rządowi naszego państwa z powodu w toku będącej regulacyi waluty, tudzież do nieprzyjaznych wystąpień przeciw klasom posiadającym.

Z c. k. Sądu krajowego karnego.

Kraków, 4 lipca 1892.

Brason.

PRZEGLĄD.

Prześladowanie socyalistów na Bukowinie. Jaskrawym dowodem postępowania władz względem nas socyalistów jest proces, który przed kilku tygodniami odbył się w Czerniowcach. Oskarżoną była — jak już czytelnikom naszym wiadomo — towarzyszka Anna Pawlik, krzątająca się od kilku miesięcy około założenia robotniczego stowarzyszenia na wzór naszej „Siły“. Ale na Bukowinie i takie rzeczy są bardzo podejrzane. To też Pawlikównę przez dłuższy czas śledzono, wreszcie zrobiono u niej rewizyę — no i zaaresztowano.

Przy rewizyi znaleziono kilkanaście pism socyalistycznych, a mianowicie: „Naprzód“, „Siłę“, „Robotnika“ oraz ruskie „Narod“ „i Chliborob“. Pisma te wychodzące w Galicyi i tu skrupulatnie przez naszych panów prokuratorów cenzurowane — dla p. prokuratora czerniowieckiego są jeszcze za rewolucyjne, a dla spokojnych bukowińskich obywateli do czytania nieodpowiednie. Radykalne zaś ruskie pisma, wychodzące we Lwowie, ochrzczone zostały wprost anarchistycznemi, pachnącemi dynamitem.

To wystarczyło już zupełnie do zamknięcia Pawlikówny. Ponieważ nadto była ona wolnomyślną i nie we wszystko wierzyła, co księża i popy z ambony uroczyście głoszą, a prócz tego parę razy odbyło się u niej w mieszkaniu posiedzenie robotników w sprawie założenia „Siły“, wytoczono jej proces o takie straszne przestępstwa jak: obraza religii, publiczne poniżanie małżeństwa, rodziny i własności, oraz naturalnie należenie do tajnych stowarzyszeń. Akt oskarżenia jest tak ciekawy, że gdyby nie brak miejsca — przytoczylibyśmy go w całości. Jest tu cała historya rusko-polskiego socyalizmu i radykalizmu od lat 20. O wszystkiem tam czytać możemy, naturalnie najmniej o Annie Pawlik. Wreszcie po 6-tygodniowem śledztwie odbył się proces. I jak można było przypuszczać, uwolniono ją od zarzutu należenia do tajnych towarzystw, obrazy religii itd., a skazano jedynie za kolportaż dozwolonych pism na areszt 6-tygodniowy.

Kara ta jest ogromnie surową, gdyż wedle ustawy za przekroczenie §. 23 ust. pr. naznaczona jest kara pieniężna od 5 do 200 złr., a w praktyce sądowej nie zdarzył się jeszcze wypadek zasądzenia kogoś za to przekroczenie na więcej jak 50 złr. Ale to było w Czerniowcach, leżących tak blisko granicy rosyjskiej.

Brutalne ale szczere wyznanie uczynił w parlamencie Tyrolczyk klerykał p. Zallinger. Odsłonił na postrach swoich klerykalnych współtowarzyszy jaki jest ostateczny cel oficyalnego chrześciaństwa i klerykałów, którzy stroją słodką minkę i z namaszczeniem szepczą, ile razy o robotniku mówią. Mówi on: „Ucisk policyi nie może zatamować, by się partya socyalno-demokratyczna rozszerzała. Ochronne ustawy są tylko półśrodkami, które jednak wśród warunków mogą się stać groźnemi. Bo robotnikom z jedzeniem przychodzi apetyt i będą coraz więcej się domagać. (Poseł Pernerstorfer: To właśnie dobrze!) Kwestyę socyalną tylko wtedy doprowadzimy do dobrego rozwiązania, jeżeli robotników i pracodawców nakłonimy do chrześciańskiego sposobu myślenia i do bojaźni Boga. Wszelkie reformy socyalne będą bezskuteczne, jeżeli nie będą podjęte starania poprawy na tem polu przez szkołę wyznaniową“.

Winszujemy szczerze ks. Lichtensteinowi takiego współtowarzysza. Nigdy klecha wyraźniej nie wyznał, że dla nich „chrześciański sposób myślenia“ i „bojaźń Boga“ na równi stoją z uciskiem policyi i że się spodziewają, iż ogłupienie ludu lepiej i gruntowniej zabezpieczy interesy klasy posiadającej, niż policya, która tak mało zrobić może. „Bojaźń Boga“, jako środek przeszkadzający robotnikom „coraz więcej się domagać“, „chrześciański sposób myślenia“ jako środek obronny dla głodnego robotnika. Poczciwy Tyrolczyk powiedział to tak dobrze, tak pięknie, że do jego słów my nie potrzebujemy już nic a nic więcej dodawać.

„Objektywne postępowanie“ w parlamencie. Posłowie nasi, to istotnie anielskiej cierpliwości i dobroduszności ludziska. To też dzieją się w parlamencie austryackim coraz piękniejsze rzeczy. Poseł Hauck (ze stronnictwa Schönerera) wnosi interpelacyę z powodu nieprawnej konfiskaty jakiegoś prowincyonalnego pisma. Prezydent Smolka nie pozwala mu przeczytać skonfiskowanego ustępu, a gdy Hauck opiera się temu, zamyka brutalnie posiedzenie. Na następnem posiedzeniu Hauck prosi o głos, nie dostaje go jednakże, dopiero kiedy Młodoczesi i antysemici ujęli się za nim i zrobili piekielny skandal i kiedy Pernerstorfer oświadczył, że „parlament, który znosi tak brutalne postępowanie, byłby godzien, żeby go nogami kopano“, dopiero wtedy dopuszczono do głosu Haucka, który oświadczył pokornie, że zrzeka się od-

ZA PIECEM.

Szkic.

Po hałaśliwym tupocie na schodach, który rozpocząwszy się na dole, rósł jak zbliżające się grzmoty na skrętach pierwszego i drugiego piętra, drzwi wchodowe otwarły się nagle i Józia, z szumem sukni przebiegłszy kuchenkę, wpadła do pokoju zdyszana. Od progu zaraz rzuciła spiesznie na łóżko parasolkę i niciane rękawiczki, poczem podniosła obie ręce do kapelusza, wyjęła zeń szpilkę i zdjąwszy z głowy, rzuciła go także na stołek najbliższy.

Matka, zajęta łataniem swego barchanowego kaftanika, przy lampie, na której umbrelkę zastępował kawałek opalonej gazety, przegryzała właśnie nitkę w zębach, kiedy jej to gwałtowne wejście dziewczyny przerwało pracę i siwą jej, pomarszczoną, rozczochraną, bezzębną głowę ku drzwiom zawróciło.

— Mamo! Karola idzie z Łupskim.

— Tu?!...

— Tu.

— Macie ludzie. Djabli go niosą.

— Co tylko. że ich nie widać. Zostali przy sklepie w tamtym domu, niby to przed wystawą. Trąciła mnie, żeby pobiedz naprzód... Tak mi serce bije... Jezu! co tutaj za garus?!... A róbże mama co!..

To rzekłszy, poskoczyła sama przed lusterko, obok okna przybite, i przysunąwszy lampę, poczęła wygładzać włosy, rozwiane w biegu, poprawiać kołnierzyk i puszkiem od pudru wcale niepotrzebnie wybielać swoją smagłą, lekko zarumienioną twarz.

Matka odłożyła tymczasem robotę, zerwała się z krzesła, klnie, zgarnia rozsypane po podłodze brudy, przeznaczone do prania na jutro, i objąwszy je, jak wiązkę siana, oburacz, z trudem dźwiga ten ładunek w stronę łóżka, w tył od ciężaru przegięta.

— Zdejmże prędko kapę, Józka! Nie widzisz, że mi wszystko z rąk leci?...

— Jest! mam właśnie czas na to.

— Ty się przecież mizdrzyć nie potrzebujesz. Nie do ciebie przychodzi...

— Do mnie, nie do mnie, cóż mam wyglądać jak chuchro.

Tobół zbrukanej bielizny padł z szelestem na łóżko, formując górę. Matka, odsapnąwszy, rozrzuciła szmaty czemprędzej i przysłoniła je po wierzchu spłowiałą kapą, na największej z dziur kładąc kapelusz Józi. Teraz dopiero, gdy gość pod drzwiami, oceniając brud i nieporządek zapchanego rupieciem mieszkanka, bez przebierania w wyrazach zaczyna gderać: że też to u niej zawsze musi być jak w chlewie, choć takie duże dziewczęta są w domu; ale to pluchy, ladaca, przez dzień cały żadna o porządek nie dba. za to wieczór kawalerów matce na głowę sprowadzają. I żeby chociaż z tego co było, ale gdzie tam. Przynajmniej ona w to nie uwierzy, nie pierwszy to już raz.

— Moja mamo! Jeżeli się córce nie dopomoże i jeszcze źle będzie wróżyć, to pewnie że nigdy żadna za mąż nie wyjdzie.

— Eh, gadanie, nic więcej. A tamten zeszłoroczny, Mędlak: łaził przez całą zimę, pił herbatę z wirsztlami, podłogę się musiało myć względem niego w każdy tydzień — i gdzież go masz?... no — gdzie?...

— Wszystkiemu ojciec winien. Widział, że ojciec mało kiedy trzeźwy...

— Tak ci tam, ojciec. Zeby Mędlak był miał porządny zamiar, toby na córkę był patrzał, nie na ojca. Zresztą i Karola też nie umiała koło niego chodzić, powiem ci. To to było. Tyś do niego więcej oczy zawracała, niż ona, powiem ci.

— Moja mamo! Każdaby przecież za mąż wyjść rada... Widziałam, że był z Karolą nie bardzo, cóż mi to szkodziło?...

— Ale ty tak z każdym — i co z tego masz? Obieście do niczego... Nieszczęście na moje stare lata.

— Oho! już... Niech-no mama da lepiej na salceson...

— Na jaki salceson?

— Przecież go trzeba czemś przyjąć!...

— A ja skąd na to wezmę?...

— Matko święta! skąd mama chce... Bój się mama Boga, chce mama, żeby my staremi pannami zostały? czy co?...

— A to czemu sama nie dasz siostrze?... Masz reńskiego.

— Niby-to mama nie wie, że już tak jakbym go nie miała. Jutro mam odebrać kapelusz z farby, to czem zapłacę?

— Jutro ci Karola odda, ja ci wrócę.

— Już mama lepiej nawet niech nie mówi. Ja kapelusz mieć muszę. Wszystkie już letnie kapelusze mają. Weź mama od sąsiadki.

— Weź mama... weź mama... a kto odda?... Skaranie boskie z wami.

Wśród tej rozmowy córka skończyła upiększać swe wdzięki, stara zaś wsunęła ceber z niepomytemi od objadu talerzami i naczyniem pod łóżko, poczem, odszukawszy w kuchence mocno już zdartą miotłę, zaczęła naprędce, aby, aby, w kąty rozmiatać zalegające środek podłogi całodzienne śmieci.

— Gdzież twoja bronzowa spódnica?

— Gdzie jak nie w szafie. A niech mi ją też mama znowu zadepcze, proszę mamy, bo już i tak mało sterana, a mam na drugą...

— Nie będę w niej przecież tańczyć. Przykryjno stół za ten czas, jak pobiegnę po te parę szóstek.

Zarzuciła przez głowę spódnicę córki, Józia zaś nakryła stół czerwonym obrusem, mniej poplamioną stroną na wierzch, postawiła lampę i wykroiwszy tępemi nożyczkami z tkwiącego między szafą a murem papieru umbrelkę, osłoniła nią cylinder.

— Wystarczy nafty?... E, wystarczy... Żeby tylko ojciec nie przylazł na to wszystko...

W tej chwili wróciła matka z stękaniem:

— Wolałabym nie wiem co od tego pożyczania. Masz na salceson. Tylko żeby jaki świeży, moja ty...

— Lecę.

Stara zaczęła się drapać po przez rękaw w chude ramię niedbale, Józia zaś poskoczyła do progu. Już w półotwartych drzwiach obracając się, zawołała na odchodnem znacząco:

— Mamo?... a gwóźdź!!

— Widzisz — dobrze, żeś przypomniała.

czytania skonfiskowanego ustępu!! Wtedy poseł Vaszaty zażądał odczytania całej interpelacyi. Nad tym wnioskiem rozpoczęła się wcale dla prezydyum niepochlebna dyskusya. Zdawało się już, że się zanosi na votum nieufności, ale za staraniem kilku dyplomatów rzecz cała skończyła się zupełnie gładko. Vaszaty cofnął swój nieprzyzwoity wniosek, skonfiskowanego ustępu nie odczytano, objektywne postępowanie za staraniem i sprawą dawnego (o! bardzo dawnego!) demokraty a obecnego dobrowolnego zastępcy prokuratoryi p. Smolki, oraz dawnego prokuratora a obecnego vice-prezydenta parlamentu Chlumeckyego odniosło w parlamencie, — świetny tryumf.

Reforma ustawy prasowej robi olbrzymie postępy! Podkomitet komisyi przyjął referat dra Jaquesa, który niezbicie wykazuje, jaka szalona różnica istnieje pomiędzy krzykiem pseudo-liberalnego pawia a prawdziwą wolnomyślnością. Wedle tego projektu kolportażą trudnić się nie mogą skazani za zaburzenie publicznego spokoju i porządku! Jak gdyby się to nie musiało wydarzyć każdemu porządnemu człowiekowi w Austryi, zajmującemu się sprawami publicznemi. Konfiskata z §§. 302 i 305 ma nadal pozostać! Naturalnie, bo za te paragrafy nas ustawicznie konfiskują. A to cudowna reforma. Nawet komisyi było tego za wiele i dr. Jaques musi się jeszcze raz nad tą sprawą zastanowić.

Humanitarność naszej burżuazyi okazała się znowu w wspaniałem świetle przy katastrofie kopalni w Osieku. 25 maja b. r. zostały znowu — w przeciągu 13 lat po raz trzeci — kopalnie węgli zalane. Przy dawnych katastrofach przed 5 i 13 laty zginęły setki robotników, przy obecnej stracili robotnicy tylko pracę i narzędzia. Dwa tysiące robotników zostało nagle bez zajęcia i giną wraz z rodzinami jeszcze dzisiaj z głodu. Wielu jeszcze nie odetchnęło po ostatniej katastrofie przed 5 laty, aż tu w nich uderzył nowy cios. Oto stoją znowu bezradni i bez żadnej pomocy, znowu muszą wędrować z kopalni do kopalni i żebrać o pracę, znowu muszą sami zniżyć płacę na szkodę swych towarzyszy i znowu muszą się za nędzną płacą sprzedać. Nie do opisania są cierpienia, opłakane jest położenie, w jakiem się teraz ci robotnicy wraz z swojemi rodzinami znajdują. Tylko kilku znajdzie zaraz robotę, wielu, zwłaszcza starsi, nie znajdzie żadnej więcej roboty. Syte społeczeństwo nie ma dla tych biedaków żadnego wsparcia, nawet słowa współczucia, pisma burżuazyjne opłakują straty właścicieli kopalń, o robotnikach i o ich dzieciach bez chleba nikt nie pamięta. Cztery dni po katastrofie chcieli robotnicy zwołać zgromadzenie publiczne, by radzić nad swojem położeniem. Miano żądać od rządu, który zawsze jest na zawołanie wiecznie łaknących przedsiębiorców, by dla nieszczęśliwych górników coś zrobił. Zgromadzenie zostało zakazane i nakazano robotnikom, by odebrali sobie książki robotnicze, w innym wypadku bowiem będą odesłane do starostwa. Teraz mogą sobie pójść, a jeżeli nie pójdą, to ich zmuszą do tego, czyli delikatniej powiedziawszy, książki ich będą odesłane do starostwa. Czy z własnej albo z cudzej winy utracili robotę, nie zmienia wcale postaci rzeczy, podlegają zawsze ustawie włóczęgostwa, jeżeli tylko kapitał nie może ich zużytkować.

Panuje ogólne mniemanie, że można było uniknąć katastrofy, gdyby zawczasu usunięto gromadzącą się wodę, co jednak zaniedbano ze względu na sezon kąpielowy w Cieplicach. Nie można przecież było pozbawić chorego ale eleganckiego społeczeństwa jego przyjemności. Mimo napomnień robotników, że woda się już dostaje do tych miejsc, gdzie się pracuje, że już słychać jej szmer, zarząd nie uczynił żadnych kroków zaradczych, aż nastąpiła katastrofa. W sąsiednich niezalanych szybach zażądali robotnicy 8-godzinnej pracy. Odpowiedziano im na to: „kto o $5^1/_4$ rano już przy robocie nie będzie, albo kto przed $^1/_2 6$ wieczór opuści robotę, natychmiast będzie wydalony“. A robotnicy muszą sobie na coś podobnego pozwolić, gdyż są nieprzygotowani, aby rozpocząć walkę. Nie dadzą się przez nikogo porwać do niewczesnej walki, będą na razie milczeć i dalej nad swoją organizacyą pracować. Tylko wszystkie podłości napiętnują i pod pręgierz wystawią.

Wzruszającego zaparcia się siebie w przeciwstawieniu do okrzyczanego sobkostwa i chciwości robotników dają przykład posłowie węgierscy. Oto umotywowany projekt odnośny: Dyety (10 złr. dziennie za każdą sesyę) zamienia się na pensyę roczną, ponieważ obecnie obrady przeciągają się rozmyślnie do następnego miesiąca, wobec tego, że za zaczęty miesiąc wypłaca się dyety jak za cały miesiąc. Tak piszą sami posłowie, a ci przecież muszą to tem znać. Tak to uprzyjemnia się sobie panowanie i uchwalanie nowych praw — nie w samych tylko Węgrzech.

Nowy postęp militaryzmu w Niemczech ma znowu swoją sakiewkę aż do dna wypróżnić. Nowy projekt militarny zawisł groźnie na niebie jak chmura gradowa — i jak chmura zmienia ciągle swoje kształty. Według „Post“ mają być wojsko stałe o 63·000 chłopa, zwykły budżet wojskowy „tylko“ o 60 milionów powiększone, a nadto planuje się pomnożenie personalu naukowego i powołanych rekrutów. W swoich żądaniach wojskowych Niemcy idą „na czele ludzkości“, w ich ślady wstąpią wkrótce państwa trój przymierza. I póty będzie dzban wodę nosił, aż lud zmądrzeje, aż pod ciężarem budżetu wojskowego nie upadnie. — Włochy doszły już nad brzeg przepaści bankructwa — trójprzymierze rozerwie się gwałtownie. I to będzie początkiem końca militaryzmu.

A przecież są ludzie, którym się słońce uśmiecha! Notatkę tę wyjmujemy ze sprawozdania paryskich wyścigów: właściciel zwycięskiego biegusa otrzymał jako nagrodę skromną sumkę 251·000 franków (125 000 złr.). Za wstęp na wyścigi uzyskano w przybliżeniu 500·000 fr. (250·000 złr.). Kwota poczynionych zakładów dosięgła wysokości trzech milionów franków ($1^1/_2$ mil. złr.). A na ulicach padają inni ludzie z głodu, albo odbierają sobie sami życie, aby gilotyna nędzy nie zabiła ich powoli. O ty najpiękniejszy ze wszystkich światów!

Gdy król podróżuje, mają policyanci robotę — o czém świadczy następująca notatka: „Słychać, że cesarz rosyjski ma odwiedzić Warszawę. Aresztują więc „politycznie podejrzanych“, lub węszą za nimi skwapliwie. Liczba zaaresztowanych jest już dosyć znaczna“. — Strasznie niedbała ta policya warszawska! Pozwala „politycznie podejrzanym“ swobodnie chodzić po świecie i dopiero gdy car przybywa przypomina sobie swoje obowiązki — a może właściwie robi niektórych „podejrzanymi“, aby pokazać panom „von oben“, że czuwa na posterunku? Batiuszkę jednak powitają w Warszawie radośnie; — miłość ludu do ukochanego władcy wszystko zniesie.

Cholera w Rosyi. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że cholera w Rosyi na dobre się rozgościła. Rząd rosyjski używa przeciwko niej przedewszystkiem takiego środka, że nie przepuszcza depesz z prawdziwemi o niej wiadomościami. Cholera znajdzie w Rosyi grunt przez głód i różne inne zarazy doskonale przygotowane i przekroczy z pewnością granice sąsiednich krajów, jeżeli ich rządy nie zmuszą Rosyi do zaprowadzenia odpowiednich środków sanitarnych. Rosya jest nietylko pod względem politycznym, ale i pod względem zdrowotnym największym wrogiem wszelkiego postępu i cywilizacyi — dzięki carskiej gospodarce.

Pochyliwszy się co żywo, wyciągnęła stara z pod szafy drewnianego pieska od butów i nim poczęła na gwałt wbijać sterczący w siedzeniu najlepszego stołka gwóźdź zdradliwy, aby uchronić suknie oczekiwanego gościa od szkody. Cały dom miał odzież w tych samych miejscach podartą od tego gwoździa — wbijany co dni parę, raz po raz najniespodziewaniej wychylał się napowrót, z uporem.

Wtem głośny śmiech Karolki, dochodzącej szczytu schodów — pierwszy sygnał — przerwał jej pracę. Cisnęła pieska w ciemny kąt i po drugim sygnale — wycieraniu nóg w słomiankę pod drzwiami sąsiadów — usiadłszy na krześle, jak aktor wcielający się w swą rolę przed podniesieniem kortyny, przybrała pozę rozmodlonej staruszki, z koronką w ręku, którą podjęła z pod stołu. A fizyognomię starej wiedźmy okrasiła uśmiechem anielskiej dobroci.

W tej samej chwili młoda para wkroczyła do pokoju.

Karolka przy obcych była istną pieszczotką. Była nią w tej chwili zwłaszcza śmiejąca się, ożywiona, przejęta zabiegami o męża. Lecz jednocześnie ukradkiem rzucała niespokojne spojrzenia po pokoju i na wszelki wypadek zasłaniała go sobą jeszcze przed Łupskim.

Młody, wyelegantowany introligator wsunął się za nią w ukłonach Od paru już miesięcy co wieczór czekał na Karolkę i jej siostrę przed szwalnią, by je odprowadzić do domu i wpoił w starszą swem nadskakiwaniem, pełnem uwielbienia, nadzieję, że ten stosunek może ją zaprowadzić do ołtarza. Posiadał tutaj względy.

— A! rzadki gość! Co się to stało! No no!... — witała chłopaka w oklepany sposób stara, ze wszystkich sił przytem udając wielkiej godności damę.

— Siednij-że pan sobie — ponowiła, podsuwając przeznaczony dlań stołek, mrugnięciem zaś oczu uspokoiła Karolkę, która chciała podać inne krzesło.

— Jakże mi się pan miwa, mój panie?...

— Tak sobie, proszę pani, obleci. Raz w prawo, drugi raz w lewo.

Karolka przekonała się paru rzutami oka, że zwykłą niechlujność mieszkania trochę usunięto. Kopnęła jeszcze nogą pod łóżko wystrzępiony pantofel matki i coś białego, przybrukanego, co się z pod kapy wychylało, wsunęła nieznacznie pod przykrycie. Tylko nosem pociągała bez przerwy daremnie starając się w siebie wmówić, że nie czuje zwykłego fetoru.

Zwolna wywiązała się rozmowa. Kawaler przypatrywał się głównie frendzli od obrusa poniżej stołu, którą bez litości miętosił w ręku, czasem zaś spozierał na starą, aby zaraz potem poszukać oczu Karolki w lustrze, skośnie zwieszającem się z odrapanej ściany. Tam to właściwie, w tym drugim, nieistniejącym, odbitym tylko pokoju, między dwoma parami ich oczu, toczyła się najważniejsza część rozmowy, dla niego jedynie i dla niej zajmująca, podczas której matka, świadoma tego co się dzieje, od czasu wizyt poprzednich konkurentów oraz z własnego doświadczenia przed laty, obojętna już jednak na te głupstwa, poziewała tak szczerze, aż jej łzy w oczach stawały.

Nakoniec weszła Józia. Po długiem pobrzękiwaniu w kuchence talerzami i łyżkami wniosła salceson w plasterkach, cztery szklanki mętnej herbaty i cztery blade, koszlawe bułki, ostatnie, jakie były w sklepiku. Zakochani nie lubią przyznawać się do apetytu w swojej obecności, to też Łupski i Karolka, chociaż zapach salcesonu przywołał im ślinkę do ust, oboje oświadczyli, że nie głodni. Za to Józia i matka poczęły zmiatać wędlinę na wyścigi, przyczem córka o porządną porcyę wyprzedziła starą, nie mogącą nadążyć z powodu braku zębów. Jednej wszakże jak drugiej nie poszły zapasy te na zdrowie: Józka się zakrztusiła tak mocno, że aż musiała wstać od stołu na chwilę, matka zaś ze złości, jaka ją porywała na widok znikania kąsków w łakomych ustach dziewczyny, zeszpetniała na poczekaniu, pozbywając się całkowicie oblicza dobrotliwej kobieciny, które udawało jej się nieraz zachować z godzinkę, ze dwie, przy ludziach.

Gawędząc wśród tego o różnych rzeczach, stale powracano do jednego tematu: miłości, wesel, małżeństwa. Łączono pary, udzielano sobie wiadomości o pożyciu już połączonych, spierano się o daty zaręczyn i termina ślubów. Najdłuższym ustępem rozmowy był opis wesela Masłównej, córki odźwiernego z ulicy Białej, koleżanki i przyjaciółki obu sióstr, która ostatnich zapust wyszła za drukarza. Karolka i Józia nie dawały prawie jedna drugiej przyjść do słowa, z zapałem opisując naprzemian to wesele, poprzedzone ślubem w kościele rzęsiście oświetlonym, przystrojonym dywanami i kwiatami, do którego orszak zajechał w karetach, w karetach wyraźnie, z fornalami ubranymi w liberye na koźle, nie w numerowanych, jednokonnych dorożkach. W orszaku były same fraki, same jedwabne suknie, zupełnie jak na pańskich ślubach — kawiarka z „Końskiego placu“ była w pomarańczowej, z czerwonem piórem na głowie, maszyniścina Dłutkowa ubrana popielato z niebieskiem, siostra jej na zielono i t. d. Wszystkie jednak zaćmiła panna młoda ogonem na trzy łokcie u sukni jedwabnej, która z welonem, wachlarzem, zarzutką, dodatkami, kosztowała, pod słowem, 120 reńskich. Wesele wyprawiono w hotelu, z obsługą we frakach i białych rękawiczkach, muzykantów wojskowych czterech, słowem wszystko odbyło się suto i z szykiem, nic też dziwnego, że uroczystość zaszczycił swym udziałem sam właściciel drukarni, oraz pewien jednoroczniak i dwóch aptekarzy. Koszt wprawdzie wyniósł koło trzystu guldenów i połknął wszystkie oszczędności Masłownej, która aż dotąd zarabiała dużo jako bardzo zręczna modniarka, ale panna młoda była zdania, że to raz w życiu, więc jak pokazać się, to się pokazać... To też wszystkie rówieśnice, wzdychające dopiero do zamąż-pójścia, zazdrościły jej z całego serca, przyznając, że z pięknem wspomnieniem opuściła dom rodzicielski, małą, ciemną izbinę w kącie podwórza, pełną zawsze dzwonienia

Nadchodzi dzień!

Wiosna się śmieje, jak dziewczę młode,
Strojąc swe włosy w róże i bez,
A spokój do snu tuli przyrodę
Ponad przybytkiem hańby i łez.

Budynki fabryk, jak nocne zmory,
Kładą swe cielska na zieleń łąk;
Dymami zioną ich paszcz otwory
I wyją pracą maszyn i rąk.

Bywajcie zdrowi, wy, którzy z nędzy
Przeszliście czarny tych piekieł próg,
Musicie zmarnieć później czy prędzej —
To niewolników dola i sług.

Od chłodnej zorzy do nocy dreszczów
Jęczycie w klatce jak biedny ptak,
I tak więdniecie bez słońca, deszczów,
Jak opuszczony różyczki krzak.

W stęchłej pracowni, w ogniach, w posuszy
Chłoszczą was Jędze tysiącem rózg,
Grom, łoskot maszyn miażdży i głuszy
Porywy woli, myśli i mózg.

Hoże dziewczęta, krzepcy chłopacy
Skrapiacie potem swym maszyn bieg,
Ale nie dla was plon waszej pracy,
Bo wszystko obcy zabierze człek!

Praca, jak upiór, krew wyssie z czoła,
Maszyn wyziewy wsączą w pierś jad,
Połamią palce, ręce wam koła
Potem kaleką wypchną was w świat...

Bywajcie zdrowi — wy, których czarci
Pchnęli przez progi fabrycznych bram,
O, czy wy gorsi — czy wy mniej warci
Od strojnych panów, gąsek i dam?

By garstce ludzi podścielić stopy,
Najemnik trawi żywota kwiat,
By innym złote zbudować stropy
Ginie bez dachu nędznie jak gad.

Lecz tak być musi — tak chcą niebiosy
By jeden zbytki i nadmiar miał,
Inny był biedny, nagi i bosy —
Lecz tak być musi, tak Pan Bóg chciał!

Z głodu i nędzy giną miliony
Pod sinem niebem wśród bujnych pól,
W znękane dusze zapuszcza szpony
Rozpusta, hańba, rozpacz i ból...

Lecz tak być musi — Czemu? Czy z góry
Bóg żywot ludzki zwichnął i struł?
Któż śmie nam bluźnić prawem natury,
Że nie dla wszystkich kryty jej stół!

Huczą maszyny i warczą koła,
Siłą przyrody wprawione w ruch,
Czyliż przemocy moc nie wydoła,
Czyż śpi ludzkości wola i duch?

Czyż te miliony są martwą bryłą,
W którą bić może topór i młot,
Czyliż nie wiedzą, że są tą siłą,
Od której świata zależy zwrot?

Czy oni wiedzą? Idźcie w głąb duszy,
A posłyszycie ogromny głos:
„Dosyć już cierpień, łez i katuszy
Dość naigrawał się z nas już los.

I my pragniemy słońca i słońca,
Trochę powietrza, wiosennych tchnień,
Pragniemy świtu, niewoli końca,
Pragniemy rozwiać mroki i cień.

I my pragniemy chleba i domu,
Wszak dość na ziemi jest pól i niw,
A więc poskąpić nie trza nikomu,
Kto li oddycha, kto jeno żyw!

My także ludzie! mamy rozumy,
I uczuć wydrzeć nie możem z łon,
Nie możem wyzbyć się ludzkiej dumy,
Nie chcemy hańby cór swych i żon.

Dość cierpieliśmy — lecz dziś z swej woli
Krzeszemy wielki zapał i żar,
Bo nas moc własna jeno wyzwoli,
Nie moc nadziemska, prorok lub czar.

Jako mąż jeden na całej ziemi
Rzekniem do słońca: Wstrzymaj się! Stań!
Aż się złe zielsko z roli wyplemi,
Aż ludzkość zbierze plon swój i dań.

Czekaj i świeć nam, aż odzyskamy
Szeroki, wolny nasz własny świat,
Aż pękną wszystkie węzły i tamy,
Aż się z zamętu wyłoni ład.

Czekaj i świeć nam, aż wywalczymy
Ostatni wzniosły ludzkości bój.
Aż zczeźnie hańba, ciemności dymy,
Aż tryśnie czysty wolności zdrój!

W źródle wolności, w źródle kultury
Spłuczem niewoli piętno i brud,
Odtąd z mocami jeno natury
Będzie wiódł wojny człowieczy ród.

Wiosna się śmieje jak dziewczę młode
Strojąc swe włosy w róże i bez —
Kiedyż odzyszcze ludzkość pogodę
Kiedyż cierpieniom jej będzie kres?

Huczą maszyny i warczą koła
Mącąc harmonię wiosennych tchnień,
A wietrzyk ciągle jęczy i woła:
Nadchodzi dzień!

Zygmunt L.

KORESPONDENCYE.

Cieszyn, 9 lipca. Jeśli człowiekowi włożą wielkie brzemię na plecy, okują w łańcuchy i popędzają biczem głodu i nędzy, to zaiste dzieje się wielka krzywda stworzeniu na podobieństwo Boże ulepionemu, — jeśli atoli tej istocie ludzkiej nadto jeszcze zatkają i zamkną usta, to wtedy poprostu człowieka żywcem kładą do trumny i odzierają go ze wszelkich praw społecznych i boskich. Tak się to z nami dzieje. Ucisk ekonomiczny przygniata nas do ziemi i wysysa soki żywotne, a instytucye państwowe nawet tej drobnej ulgi nam dać nie mogą, którą ustawodawstwo fabryczne zapewnia robotnikom w innych prowincyach — gdyż władze polityczne urzędują u nas w obcym, niezrozumiałym języku, t. j. w niemieckim, uniemożliwiając w ten sposób wszelkie z nimi stosunki i odniesienia. Pisał już towarzysz „Ślązak" w poprzednim liście, że nawet się pożalić nie możemy inspektorom i komisarzom przemysłowym, bo oni nas nie rozumieją i gardzą naszą mową. Cały lud roboczy na Śląsku mówi po słowiańsku, a jednak wszystkie sądy i urzędy i szkoły są niemieckie. Dzieci nasze opuszczając szkoły niemieckie, wstydzą się swego pochodzenia, tracą wszelką łączność i czucie z klasą robotniczą i spieszą pachołkować i drużbować niemieckiej burżuazyi. Brak wykształcenia jest silną tamą dla rozwoju naszej partyi, a jakże się uczyć i oświecać, kiedy z dobytków cywilizacyjnych korzystać nie możemy. Do naszych żądań musimy przypisać wraz z naszymi braćmi z pod zaboru rosyjskiego: Żądamy polskich sądów i urzędów, żądamy polskich szkół. Niemczyzna jest środkiem, utrwalającym wyzysk i panowanie kapitalizmu! Wprawdzie małomieszczaństwo i chłopi poczęli się w ostatnich czasach również domagać pewnych swobód językowych, ale czynią oni to półgębkiem, z przyrodzonej tymże klasom tchórzliwości i połowiczności. Zresztą każdy chłop lub małomieszczanin wykształciwszy się i wyuczywszy czegoś, zostaje albo księdzem albo wstępuje w szeregi burżuazyi niemieckiej. Nie mamy więc również w zakresie tego żądania sprzymierzeńców i będziemy się o nie tak samodzielnie i niezależnie od życzeń klas posiada-

---

przez noc całą (bo ojciec spał twardo), aby się przenieść do skromnego pokoiku na przedmieściu, który był gniazdkiem, usłanem jej za pożyczane pieniądze przez męża.

Dziewczęta rozprawiały o tem wszystkiem z iskrzącemi oczyma, znać było, jak je ten przedmiot, będący szczytem ich marzeń, zaprząta. Matce przypadał również do smaku niewyczerpany temat babskich gawęd i plotek. Dla niego jednak, dla Łupskiego, w roli, w jakiej tu występował, kompletnie zawróciwszy sobie dziewczyną głowę, rozmowa o ślubie i weselu przedstawiała urok nieopisany, a każde słowo z ust Karolki pełnem zdawało się pokus i obietnic, pełnem wdzięku i znaczenia...

Z tem wszystkiem, ochłonąwszy nieco z uniesienia, dziewczyna pospieszyła niedawny swój zapał do wspaniałości zrównoważyć uwagą:

— A przecież nie ma to jak ślub cichy, skromny, we cztery osoby: on, ona, dwoje świadków, w zwykłych ubraniach...

I utkwiła w lustrze oczy, tchnące tęsknotą za szczęściem cichem i prostem.

— Bez gości? bez tańców?!... — zadziwiła się Józia. — I cóż to za wesele?!...

— Dla tych, co się pobrali z miłości, najwięcej szczęścia pewnie, gdy się zobaczą sami... — dodała ciszej tamta.

Łupskiego ścisnęło coś w gardle; tyle miał tchu zaledwie, by westchnąć.

Józia jednak spierała się gwałtownie.

— Dobrze wam mówić! To mi dopiero sztuka: sami... Ale trzeba przecież i dla drugich coś zrobić, żeby się zabawili...

Wtem matka, której Karolka niespokojnemi oczyma wskazywała drzwi wchodowe nie po raz pierwszy, rozdziawiając usta jak bramę, ziewnęła przeraźliwie, poczem mruknąwszy na usprawiedliwienie:

— Tak mi się dzisiaj czegoś chce spać!... — dodała ni ztąd ni zowąd: — O której się pan Łupski zwykle kładzie?

— W tygodniu o tym czasie, a w sobotę, jak dziś, to później... — odparł, biorąc pytanie na seryo.

Karolka rzuciła na matkę wzrok rozpaczy i trwogi, przerażona myślą o spotkaniu Łupskiego z ojcem.

Ale kiedy we trzy wzięły się do chłopaka wspólnemi siłami, udało im się po jakichś dziesięciu minutach doprowadzić go do tego, że się ze stołka podniósł i zaczął je żegnać.

Matka, kontenta z tego, popychając go zlekka ku drzwiom, żartowała:

— Tylko też prosto do domu... mój panie Łupski... bo wy kawalerowie...

I pogroziła mu na nosie, rzucając jednocześnie spojrzenie wściekłości na Józię, która za plecami gościa pochłonęła co tylko ostatni plasterek salcesonu. Łupski ściskał po kolei wyciągnięte ku sobie ręce.

W tej chwili jednak, gdy się do matki zwrócił, doleciał z kuchni łoskot drzwi, otwieranych z trzaskiem, ciężki krok męski i naraz kobiety, spojrzawszy po sobie, spoważniały.

— Pozwól też pan... — wyrywając Łupskiemu rękę, rzekła stara i spiesznie wybiegła.

Pozostałe córki zastawiły mu sobą drzwi od kuchni, przymknięte. Plotą coś trzy po trzy, równocześnie, gorączkowo, z czego on nic a nic nie rozumie, widzi tylko utkwione w siebie zakłopotane spojrzenia obudwu.

— Przepraszam pana na momencik — odzywa się naraz Karolka, nie mogąca dostać na miejscu i znika również za progiem kuchni, zostawiając Łupskiego na pastwę kokieteryjnych min siostry, które go nie od dzisiaj w kłopot wprawiają, zważywszy szczere jego zamiary względem starszej.

Ale po chwili, po bardzo krótkiej chwilce daremnych prób zagłuszenia jakiemś na prędce wymyślonem opowiadaniem o domowych kłopotach coraz głośniejszej w kuchni sprzeczki, nad którą górował gruby, chrypliwy głos męski — i ona nie potrafiła wytrwać na stanowisku i bąknąwszy:

— Zaraz wracam — zniknęła, zamykając mu drzwi przed nosem. Przez to zajrzeć za próg stało się rzeczą niemożliwą, za to słuchać łatwą zupełnie.

Ale nastrojonemu bardzo idealnie spędzeniem wieczoru u boku ukochanej Łupskiemu trudno się było zoryentować. Zaniepokoił się tylko mocno, słysząc najwyraźniej łkanie Karolki, która szeptała boleśnie rozpaczliwym tonem:

— Chyba tata chce mojej śmierci!...

Józia znów powtarzała:

— Bójcie się Boga! tam wszystko słychać — a właśnie jej głos słychać było najlepiej. Matka nie przestawała mruczeć:

— Wstydubyś nie miał, włazić tak: zastanów się, żeś usmolony jak nieboskie stworzenie, a do tego masz w głowie!...

Mężczyzna odpowiadał na to ochryple:

— Więc cóż z tego?... Usmolonym?... to od roboty... Wypiłem? to za swoje... Panie szanowny!... Chodź-no pan tutaj... Panie... jakże to panu?... panie Łupski!... chodźże pan, bo te gęsi...

Przerywano go — wkroczył do kuchni.

Ale one nie spodziewały się tego, i właśnie wszystkie trzy, zjednoczonemi siłami, starały się wepchnąć starego za piec i ukryć go tam przed konkurentem, przed którego oczyma roztaczały dzisiaj przez cały wieczór ile tylko mogły pięknych pozorów, dla zakrycia swojej nicości i nędzy. Starały się schować go w kącie jak owe brudy, przysłonięte szmatą, traktując na równi ze swem niechlujstwem tego starca, który przez cały tydzień pocił się, aby zarobić grosz na ich utrzymanie, a raz jeden, jedyny w tygodniu szukał odrobiny przyjemności w kieliszku, nie mogąc jej znaleść w domu nigdy, przez całe życie.

Na widok Łupskiego nie wiedziały teraz co począć. Matka badała oczyma chłopca, starając się uśmiechać, nieszczerze, Józia uciekła w drugi kąt kuchni, a Karolka wybuchnęła płaczem; nie płaczem wstydu, ani bólu, lecz płaczem złości, że niespodziewane zajście psuje jej tak dobrze idącą komedyę, złości i obawy, aby widok jednej przywary ojca nie pozwolił domyślić się wszystkich jej przywar pod kłamliwą powłoką udanej dobroci i sztucznego wdzięku.

jących dobijali, jak walczymy o inne prawa proletaryatu. Przedewszystkiem zatem żądamy, aby urzędnicy starostwa nie zapominali, że ustawy zasadnicze gwarantują na Śląsku równouprawnienie językowe. Do starostwa przychodzą ze skargami prawie wyłącznie robotnicy z Trzyńca, którzy tylko po polsku tłomaczyć się mogą; aż robotnik polski znajdzie pośrednika niemieckiego, to zwyczajnie nastąpi przedawnienie skargi lub zażalenie. Rządcy i inżynierowie, korzystając z niedoli robotnika, który tylko z wielką trudnością odnieść się do władzy może, nadużywają swej siły i stanowiska. Słyszeliście już w Krakowie o owej słynnej gospodarce w Trzyńcu, ale przysłano Wam dotychczas tylko luźną wiązankę faktów, trzebaby się Wam samym przekonać, że u nas kwitnie jeszcze owo starożytne niewolnictwo i pańszczyzna. Rządcy strącają sobie z płacy robotnika dowolnie „prezenty“, nie przestrzegają ustaw przemysłowych o wypowiedzeniu i czasie pracy, utrzymują ruch nocny w hutach i pracowniach wbrew ustawie, przedłużają wciąż godziny pracy, zniżając zarazem wynagrodzenie, nie dbają o urządzenia sanitarne i zapobiegawcze, tak, że wypadki nie są tu wypadkami, lecz regułą, wreszcie wzbraniają wszelkiej organizacyi i udziału w ruchu robotniczym. Każdy z nich nabije kiesę i po kilkunastu latach administracyi staje się kapitalistą. Jeśli robotnik upomni się o swe prawa, to wtedy powie pan X. lub Z.: Ja tu mam rządzić, jam jest pan. Idź się żal inspektorowi, który cię nie zrozumie, a ponieważ ma słabe nerwy, więc z gniewu napędzi, albo jedź do właściciela arcyksięcia Albrechta.

I z tej ostatniej rady tutejsi robotnicy mają zamiar skorzystać i udać się wprost do arc. Albrechta, któremuby właściwy stan rzeczy przedstawili.

* * *

Nowy Sącz, w lipcu. Odbyło się tutaj 19 z. m. w sali Stow. robotniczego „Siła“ publiczne Zgromadzenie robotników, na którem tow. Kozakiewicz, jako delegat, zdawał sprawozdanie z kongresu socyalno-demokratycznego w Wiedniu.

Sprawozdawca omawiał ważniejsze przemówienia delegatów innych prowincyj austryackich, sprawę organizacyi galicyjskiej, oraz zatarg towarzyszów wiedeńskich (sprawa Hansera).

Na Zgromadzeniu było przeszło 500 towarzyszów, między nimi także osoby nienależących do partyi. Przewodniczył Zgromadzeniu tow. Ratzke. Władzę reprezentowali: komisarz starostwa w sali Zgromadzenia, na gościńcu zaś przed lokalem było dwóch żandarmów.

Lwów, w lipcu. Celem złożenia sprawozdania z kongresu socyalistycznego w Wiedniu odbyło się tutaj Zgromadzenie ogólne robotników. Przewodniczącym wybrano jednogłośnie tow. Mańkowskiego. Sprawozdanie składali tow. Hudec i Daszyński. W bardzo obszernych wywodach poruszyli oni wszystkie kwestye, omawiane na konkresie.

W dyskusyi zabierali głos tow. Segeta, Menkes, Jarosiewicz i Mokłowski. W końcu tow. Diamand omawiał katastrofę przybramską, gdzie kilkuset robotników straciło życie. Mowca krytykując gospodarkę tamtejszego zarządu kopalni, został wskutek interwencyi kom. rządowego upomniany, a kiedy tenże chcąc się do tego zastosować, między innemi rzekł: „Nie będę więc mówił o bohaterstwie górników, ratujących swych braci... komisarz policyi — zgromadzenie rozwiązał.

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

Od czasu zawiązania się u nas partyi socyalno-demokratycznej, zauważyliśmy i z przyjemnością stwierdzamy, że nawoływania nasze, dążące do uświadomienia zazwyczaj niegodnie wyzyskiwanych robotników, odnoszą pożądany skutek — i rozproszoną niegdyś, bojaźliwą rzeszę zahuczonych niewolników zmieniają w ludzi, którzy, świadomi już swej produkcyjnej wyższości, wspólnemi siłami postanowili wytworzyć odporną siłę, tej miary, aby nietylko siebie samych, ale i tchórzliwych współbraci usamowolnić.

Usiłowania nasze na tej drodze dość już obfity plon wydały, — ostatni z tegoż notujemy, jako dowód poczucia samopomocy, ogólne zgromadzenie robotników murarskich, ciesielskich i studniarskich, które odbyło się w sali obrad Rady miejskiej w niedzielę d. 3 b. m. o g. 9 rano. Wobec licznie zebranych, zapełniających salę i galeryę, zabrał pierwszy głos tow. Jan Dobrowolski i w krótkiem lecz jędrnem przemówieniu, wytłomaczył zgromadzonym cel zebrania — następnie przedstawił jasno i dobitnie niekorzyści, jakie ponoszą towarzysze wszystkich zawodów, gdy nie łączą się wzajemnie — a przedstawiając następnie korzyści, jakie osiągnąć mogą towarzysze, gdy będą iść ręka w rękę, wezwał obecnych do założenia Stowarzyszenia zawodowego, opartego na ustawie przemysłowej, ograniczającej czas trwania praktyki i warunków wyzwolin. Następnie skreślił w dosadnych słowach nieprawidłowe urządzenie dotychczasowych kas miejskich — a w końcu zalecił zgromadzonym zachować się spokojnie (Niepotrzebnie! *Przyp. Red.*) i wybrać przewodniczącego zgromadzenia.

Przewodniczącym jednogłośnie wybranym został tow. Michał Pawlikowski, który po przedstawieniu komisarza p. Tarchalskiego objaśnił zgromadzonych o doniosłości zawiązania stowarzyszenia o wspólnej działalności, wezwał następnie zgromadzonych, aby prawdziwie pojęli hasło robotnicze: „Jedność i Zgoda!“ w końcu udzielił zgłaszającym się głosu.

Pierwszy zabrał głos tow. J. Dobrowolski, który odczytał zgromadzonym projekt statutu, mieszczący głównie: utrzymanie prawidłowych stosunków pomiędzy majstrami i pracującymi, utrzymanie biura informacyjnego i wspieranie wędrownych, tudzież bez zatrudnienia pozostających kolegów. Projekt statutu przyjęto bez zmiany, wśród rzęsistych oklasków. W końcu postanowiono, aby każdy z członków płacił 10 ct. tygodniowo, majstrowie zaś, ile uznają za stosowne. Wniosek ten, poparty przemówieniem tow. Józefa Nosala, przyjętym został w zupełności.

Z kolei udzielił przewodniczący głosu tow. J. Dobrowolskiemu, a tenże w przekonywujących słowach dowiódł zgromadzonym, że od władz przemysłowych, mimo ustawy zabezpieczającej robotników, niczego spodziewać się nie mogą. W nader prawdziwych słowach przedstawił majstrów, jako wyzyskiwaczy sił robotników, a z uniesieniem zaznaczył, że majstrowie wyrażają się o robotnikach swych, że są to tylko „cepy i widły“, a więcej do niczego niezdolni — i że nie urodzili się, aby żyć, jak ludzie!... Celem zapobieżenia tym nadużyciom, tow. J. Dobrowolski postawił następujące wnioski:

1. 10 godzin pracy;
2. Najniższej płacy, począwszy od 2 zł. dziennie;
3. Zniesienie robót akordowych, a zaprowadzenie płacy dziennej;
4. Przy fabryce, gdzie znajduje się 12-tu młodych robotników, ma się mieścić jeden w podeszłym wieku, zdolny do pracy;
5. Robotnicy prowincyonalni mają być na równi z miejscowymi wynagradzani, względnie do zdolności;
6. Wypłata pracujących odbywać się ma w sobotę o godzinie 6 wieczorem;
7. Odrabianie dni słotnych i świątecznych znosi się;
8. Wszelkie wypłaty, jak również kredyta, udzielone za poręczeniem majstra lub podmajstrzego, wypłacane być mają na fabryce, a nie w kawiarniach lub szynkowniach.
9. Ogólne zebranie powyższe wnioski, przedstawia odpowiedniej władzy do zatwierdzenia.

Wszystkie powyżej wymienione wnioski zgromadzenie zatwierdziło.

Nakoniec przystąpiono do załatwienia ostatniego punktu porządku dziennego, mianowicie uregulowania stosunku majstrów do pracujących. W sprawie tej jednogłośnie uchwalono wszystkie stawiane wnioski. I tak: uchwalono dotychczasową opłatę wpisu i wyzwolin zniżyć z 8 na 4 złr. (Józef Chudoment); wkładki z tego tytułu wpływać mają do kasy i na cele stowarzyszenia (Wincenty Nożyński); dopóki nie będzie założonem stowarzyszenie zawodowe, nie będzie się wyzwalać uczniów (Ludwik Sikora).

Na wniosek Ludwika Matlińskiego i Władysława Królikowskiego postanowiono wysłać na koszt wspólny delegata Jana Dobrowolskiego do Lwowa, aby tenże zajął się energicznie sprawami stowarzyszenia.

Wreszcie na wniosek Szczepana Pawlikowskiego, tudzież Józefa Nosala uchwalono na przyszłość ograniczyć liczbę majstrów przez stosowne i należyte egzamina zdolności, gdyż obecnie zdarza się, że majster nie wskutek uzdolnienia, lecz pobocznemi drogami zdobywa sobie ten tytuł, często nie ma nawet praktyki i świadectwa wyzwolin, a zatem nie może taki majster wykonać powierzone mu roboty tak, jak należy. (*Oklaski*).

O godzinie 12 w południe, na wniosek przewodniczącego, zgromadzeni trzechkrotnym okrzykiem podziękowali p. prezydentowi za bezinteresowne odstąpienie sali obrad Rady miejskiej, poczem zgromadzenie zamknięto.

Z warsztatów i fabryk.

Z Bielska i Biały. Znowu otrzymujemy zażalenia z Bielska na brutalne obchodzenie się z robotnikami, które podajemy do wiadomości ogółu, tem więcej, że dotyczy się ono znęcania się nad niedorostkami. W fabryce sukienniczej Leopolda Pollipera w Bielsku znajduje się t. zw. „Scheermajster“ Kilijan, który przewodzi nad rzeszą chłopięcą, od 14—18 lat liczącą; chłopców tych traktuje on w najgorszy sposób, za najmniejsze przewinienie bije po twarzy do krwi, w dodatku pobity chłopiec dla odzyskania łaski Kilijana, musi opłacać się paczkami cygar, inaczej postrada miejsce, jak dowodem jest takie postępowanie z chłopcem Antonim Szymankiem. Jeden ze starszych robotników, nazwiskiem Rudolf Krysta, opowiadał, iż Kilijan skarżył się przed nim, że nie otrzymał od matki pobitego chłopca przyobiecanej kopy jaj i paczki cygar i za to wyrzuca go z fabryki.

Właściciel tej fabryki znajduje się w Bernie, a miejsce jego zastępuje dyrektor fabryki p. Elzner. Niewiadomo, czy p. Elzner wie o krzywdach, jakie dzieją się w tej fabryce, proszeni tylko jesteśmy, aby na żądanie wszystkich tamże pracujących robotników p. Elzner majstra Kilijana wydalił.

Komitet z grona członków „Siły“ w Biały urządza w niedzielę d. 24 b. m. wycieczkę do lasku Fidlera przy Strzygowskim. W razie niepogody wycieczka ta odbyć się ma w najbliższą pogodną niedzielę. Towarzysze bialscy w nadesłanym liście do naszej redakcyi zapraszają, aby krakowskie Towarzyszki i Towarzysze zechcieli w wycieczce tej najliczniejszy wziąć udział. Program wycieczki nader urozmaicony, powodzenie zatem zabawy, w razie sprzyjającej pogody, z góry zapewnionem być może; komu więc czas i kieszeń pozwoli, niech spieszy powitać i zapoznać się z gronem bialskiej „Siły“.

KRONIKA.

Barbarzyństwo XIX wieku. Poseł do Rady państwa Karol Czecz nominalnie stara się bardzo, aby „prostaczkom“ dobrze się działo. W rzeczywistości zaś troskliwość tego posła tak wygląda: W zeszłym tygodniu widzieliśmy fornala Jana Kuca tak okropnie pobitego przez rządcę w dobrach posła, że widok tegoż fornala politowanie wzbudzał u ludzi, przywykłych do widoku rannych. Rządca posła do Rady państwa jest jeszcze młokosem — i próbuje swej dłoni na polskich twarzach. Nazywa się on Endlicher. Mamy nadzieję, że dzikie i wstrętne zboczenie tego pana sąd karny oceni należycie — zaś p. Karolowi Czeczowi winszujemy nabytku takiego rządcy, który kaleką czyni cztery i pół lat wiernie służącego fornala.

Dr. Schaiter, tutejszy lekarz sądowy, wydał obżałowanemu Kucowi „*visum repertum*“ — i po napisaniu temuż skargi sądowej, osobiście zaprowadził do gmachu sądowego i wskazał, gdzie skargę ma doręczyć. Z wysokiem uznaniem dla prawdziwie bliźniego uczucia notujemy ten piękny czyn dra Schaitera, równocześnie zaś posłowi przypominamy, że w naszym biednym okręgu galicyjskim aż nadto jest zdolnych agronomów i rządców, aby posługiwać się aż Prusakami. — Przecież Prusacy nie płacą za drzemkę w parlamencie!

Opłakane stosunki nasze maluje dosadnie czyn Stanisława Papieża, podmajstrzego przy budującym się gmachu p. Talowskiego na ulicy Retoryka. Otóż w zaprzeszły poniedziałek, o godz. 4 popołudniu spadł z rusztowania, wskutek wadliwości tegoż, w czem wina podmajstrzego, Stanisław Męcki, murarz, i tegoż pomocnik. Ten ostatni, silnie potłuczony, ze złamaną ręką, z rozkazu podmajstrzego, schowany został na strychu, a pogotowie ratunkowe, które (zawiadomione widocznie o nieszczęśliwym tym wypadku przez któregoś z robotników) przybyło — wróciło z niczem. Podmajstrzy bowiem, obawiając się widocznie słusznie zasłużonej kary, ukrył robotnika i bez najmniejszej litości skazał na cierpienia, odmawiając mu nawet opatrzenia ran. Dopiero wdanie się w sprawę samej policyi zdziałało, że sprowadzono ze strychu robotnika z złamaną ręką i udzielono mu już i tak bardzo spóźnionej pomocy. — Za ten nieludzki i pogardy godny postępek podmajstrzy Papież, który, ochraniając siebie z całą siłą zwierzęcego egoizmu, poświęcił nieszczęśliwego robotnika, powinien być pociągniętym do surowej odpowiedzialności.

Maszyna i brak pracy. Od 1 kwietnia są w ruchu w Chicago cztery elektryczne maszyny do odstemplowania listów i znaczków pocztowych, z których każda w przeciągu godziny 30.000 razy stempluje. Przy tych maszynach są tylko 4 robotnicy zajęci, podczas gdy ręczne odstemplowanie tej samej liczby listów wymagało pracy 100 robotników. Tak więc 96 na 100 traci robotę wskutek tych maszyn. Według Malthusa nie jest stół dla tych nakryty i ci mają obowiązek zginąć z głodu, chociaż żyta i wina jest podostatkiem.

Od Redakcyi.

Na fundusz prasowy. Tow. z pracowni krawieckiej S. —·30. Tow. murarze 3—. Razem 3·30.

Na fundusz agitacyjny: Tow. Ostr. 96 ct., Tow. Dobry 2 złr. X. Y. 1·80. Nadwyżka z prenumeraty od dra A. L. —·10. B. R. 1·50. Pamiątka —·10. Razem 6·46.

Na prześladowanych: Z zakładu na wyścigach —·40, „Anna“ —·50. Razem —·90. Tow. Dorancya bilet do kąpieli, wartości —·25.

Korespondencya Redakcyi.

Tow. L. w Wiedniu. List otrzymaliśmy w ostatniej chwili — umieścimy w następnym numerze.

Robotnicy! We wszystkich sprawach odnoście się do nas z całem zaufaniem. Podajcie nam Wasze krzywdy i żale, opowiedzcie Wasze przykrości i bóle, a my będziemy Was bronić i popierać wedle sił naszych.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: JAN ENGLISCH.

W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.